Po co ta niepełnosprawność?

Dodany przez Lidia Lutyńska
sobota, 14 grudnia 2013 19:56 -



Adwent. Czas radosnego oczekiwania na Boże Narodzenie, kupowania prezentów, przygotowywania świątecznych potraw, ubierania choinek, a w mojej głowie refleksyjnie.

Tym, którzy zaszczycają mój profil swoimi odwiedzinami i tym, którzy spośród nich są moimi realnymi przyjaciółmi i znajomymi wiadome jest, że przy swojej chorobie i związanych z nią ograniczeniach fizycznych ?wisi mi? to, czy jestem niepełno- czy pełnosprawna. ?Wisi? nie w znaczeniu, że mam się poddać temu stanowi chowając głowę w piasek i nic nie robić ale w sensie, że moja choroba nie jest żadną przeszkodą przy logistycznym zorganizowaniu tego, czego wydawałoby się nie dam rady zrobić. Czyli wychodzi na to, że jestem pełnosprawna, jak pełnosprawni ludzie. Ale nawet ja, wieczna optymistka z nieznikającym uśmiechem, poddałam się refleksyjnemu rozważaniu.

Po co ta niepełnosprawność?

Wierzę. Wiem, przekonałam się nie raz o tym, że nic nie dzieje się bez celu. Wszystko, co dostajemy od... losu? Boga? jest po coś. Tak było, gdy się urodziłam. Moi rodzice dostali przekaz, że życie to nie ciągła beztroska w skowronkach. Tak było, gdy umarł tato - dostałam lekcję, że życie to nie bycie wiecznie córeczką i królewną tatusia. Tak też jest całe życie, kiedy muszę przerabiać jedną i tę samą lekcję - życie to nie wieczne gnanie za 10 srokami na raz, a że rekwizytem tej lekcji jest niepełnosprawność - nie dziwi mnie to.

Nie będę grzeszyć skromnością i przyznam, że jestem bardzo bystra. Czasem mam wrażenie, że mój umysł pracuje z prędkością światła, a przynajmniej niewiele wolniej. Gdyby moje ciało było w pełni zdrowe, dogoniłoby mój umysł, a ten zestaw byłby zabójczo niebezpieczny. Dla mnie samej na pewno.

Kiedy mam dobre dni fizycznego samopoczucia działam jak nakręcony bączek (zabawka), nawet przy niepełnosprawności. Ciężko mnie wówczas zatrzymać. Ha! Gorzej! Robię rzeczy, których robić mi nie wolno tak, że gdyby mój lekarz i rehabilitanci wiedzieli o tym, to nieźle by mi się dostało od nich.

Przyznam, że często nie zwracam uwagi na ból i zamiast siedzieć grzecznie pomimo wstrętnych bólów kości, nieważne czy śnieg, lód, czy upał pruję, bo mi coś w głowie zaświtało i ja muszę. A że muszę potem regenerować się nawet 2 i 3 dni... Założę się, że gdybym była

zdrowa, nikt by mnie w domu nigdy nie widział. Może nawet dom jako własny kąt czterech ścian i dachu nie byłby mi do niczego potrzebny, bo mentalnie jestem obywatelem świata, kosmopolitą. W moim wypadku niepełnosprawność jest uciętą w połowie smyczą, która pilnuje mnie, bym się z niej nie zerwała i nie wypadła z toru życia. Ze zdrowym ciałem, przy mojej energii umysłowej, gnałabym przez życie na zatracenie, wypadając z toru na najbliższym zakręcie lub - co gorsza - byłabym powodem kolizji innych.

Zwolnić, skupić się na jednym, nie łapać 100 srok za ogon, zmusić się do systematyczności i jakiegoś ustalonego harmonogramu (choć to nudziarstwo ?od - do? jest koszmarnie męczące poprzez swoją cykliczną powtarzalność), zajrzeć w głąb siebie, porozmyślać o czymś ważnym - to moja lekcja do przerobienia.

Ten rekwizyt nie tylko mi służy do nauki życia. Służy ludziom zdrowym. Tym zwłaszcza, którzy muszą nauczyć się używać siły fizycznej do celów pozytywnych, którzy muszą nauczyć się, że życie to nie tylko agresywna walka w imię własnego ?widzimisię?, ale też wrażliwość, opieka i odpowiedzialność za słabszych. I choć są dni, że ten rekwizyt potrafi mi dosłownie dać w kość fizycznie, to reasumując nie jest to dla mnie żadna kara boża czy przekleństwo, a lekcja, którą muszę przerobić ja i inni, którzy byli, są i będą na mojej drodze.

Ale mnie wzięło na pseudofilozoficzne rozmyślania :) Chyba jednak bardzo prawdziwe....

Lidia Lutyńska